

“Prawdziwi Przyjaciele”
Rozdział VII - “Pegazi lot”
By [Oromis](#)

Na znaku widniał miecz, a z końca ostrza spływała kropla krwi.
Był to symbol mojego talentu... talentu do poświęceń w obronie innych... Talent przynoszący mi tylko cierpienie.
Nigdy nie chciałem być tym, wokół którego będzie zbierało się zło i smutek.

Derpy podeszła do mnie i, widząc smutek malujący mi się na twarzy, przytuliła się do mnie. Była ciepła mimo pogody panującej na dworze, szybko się ocknąłem wyrwany z mojego zamyślenia.

- Co się stało? - zapytała trzymając swoje kopytko na moim barku, lekko się uśmiechając
Odwrociłem głowę, by uniknąć kontaktu wzrokowego - nie chcę tego... to nie jest mój wymarzony talent...
- Nie możesz odrzucać swoich zdolności - zaczęła - tylko dlatego, bo wtedy jest źle.
Przeznaczenie nie zawsze musi być piękne ani przyjemne ale trzeba ku niemu dążyć by się rozwijać. Taki jest cel przeznaczenia.

Milczałem... wiedziałem jednak, że ma rację.

- Właściwie... - ciągnęła dalej - chciałam ci przekazać, że wypisano cię ze szpitala.

Nareszcie... - pomyślałem - myślałem, że nigdy mnie nie wypuszczą...

- Naprawdę? To wspaniale, już się tu nudziłem - powiedziałem
- Trzeba ci załatwić jakąś przepaskę na ranę, by ją zabezpieczyć - zauważyła Derpy.

Wzięła niebieski, szeroki pas i obwiązała nim skaleczenie zapinając go na rzep.
Powolnym krokiem wyszliśmy ze szpitala i poszliśmy do domu.

Tempo mego kroku było powalająco niskie, Derpy jednak się nie uskarżała. Przeciwnie, była nawet uśmiechnięta.

Zauważyła, że się patrzę na nią, wyszczerzyła przyjaźnie zęby i zapytała czy nic mi nie jest. Jej zainteresowanie moją osobą było imponujące, z drugiej strony ja chciałem się zabić by ją uratować.

Jaki jest teraz mój sens życia... istnienie dla Derpy i Dinky... to jest moje ogniwo trzymające mnie tutaj.

Ten głos jednak nie da mi spokoju, może znowu wykorzystać obie przeciwko mnie. Sam nie wiem... może lepiej będzie, gdy je opuszczę...? Jakie jednak wtedy moje życie będzie miało

znaczenie wobec tego wszystkiego...?

Było popołudnie, kiedy doszliśmy na podwórko pegazicy będące na obrzeżach.

Gdy tylko weszliśmy do pokoju gościnnego, od razu posadziłem zad na wygodnej kanapie służącej mi do spania.

Rana mnie piekła straszliwie, to był spacer ponad moje możliwości, nie okazywałem jednak tego by klacz się nie martwiła.

Pegazica zanurkowała w kuchni, by chwilę później wrócić ze smakołykami.

Na talerzu niosła kanapki ze stokrotkami...

- Stokrotki...? - zdziwienia nie musiałem udawać - nie wiedziałem, że coś takiego tutaj jadacie

- Spróbuj, jest naprawdę dobre

Sięgnąłem po pierwszą, była przepyszna, najwidoczniej podczas mistycznej przemiany zmieniły mi się także smaki.

Ledwo skończyłem jedną i od razu złapałem drugą.

Od wypisu ze szpitala minęło parę dni i, choć w tym czasie przeżyłem piękne chwile z Derpy i jej córeczką, wciąż nie mogłem zapomnieć o... tamtych

wydarzeniach, jednak już tak nie dokuczały. Kiedy poczułem, że dam radę, wróciłem pracować u Applejack na farmie.

Każdego dnia, przed pójściem do pracy, ostrożnie wstawałem by nie obudzić Derpy, która spała wciąż w tym samym pokoju co ja, i wychodziłem na podwórko

ćwiczyć swoje mięśnie skrzydeł. Następnie po treningu wyruszałem na farmę, gdzie ciężko pracowałem do wieczora przynosząc ze sobą monety. Nie będę przecież

jakimś darmozjadem, czy czymś w tym stylu.

Mijały niezliczone dni, głos zdawał się przestać mnie dręczyć, moja szybkość również się poprawiała a pegazica mnie raz po raz wieczorami pomagała masując

obolałe mięśnie.

Jednak nastąpił wreszcie ten, jakże upragniony, dzień! Zacząłem się unosić w powietrzu!

Opadłem, ciężko dysząc, i odpoczywałem. Dzisiaj wyjątkowo długo ćwiczyłem ale efekt był nareszcie widoczny.

Podeksytowany przypomniałem sobie, że już powinienem być w drodze ku Applejack.

- Applejack! Applejack! - zawołałem, gdy tylko zauważyłem pomarańczową klacz.

- Coś się stało?! - zapytała zdziwiona moim podekscytowaniem.

Nieoczekiwanie zacząłem bezproblemowo lecieć ku niej, wyglądała na zdziwioną. Kiedy ją

okrążałem raz za razem, ona zdjęła kapelusz i zaczęła nim dziko

wymachiwać krzycząc w przypiływie radości.

- Gratuluję! - podbiegła do mnie, ponieważ wylądowałem kawałek od niej
- Dziękuję
- Pokazywałeś swe nowe umiejętności Derpy?
- Dzisiaj wieczorem jej pokażę - oznajmiłem.
- Myślę, że lepiej będzie kiedy pójdziesz teraz jej to pokazać. Nie musisz dzisiaj u mnie pracować, właściwie i tak teraz nie ma nic do roboty.
- Naprawdę? Dziękuję ci AJ! - powiedziałem, po czym skierowałem się znowu do domu.

Tym razem całą drogę przeleciałem. Nigdy nie czułem się bardziej wolny. To było spełnienie mojego największego marzenia!

Szara klacz była przed domkiem... no tak, ona miała dzisiaj wolne.

Zanurkowałem, choć wielkiej o tym wiedzy nie miałem, lądując przed nią. Jej usta wykrzywiły się najpierw w zdziwieniu a później odkryła swą euforię.

- Udało ci się! - niemalże zapiszczała - wiedziałam, że ci się uda
 - Też wierzyłem w swoje umiejętności... mam propozycję - popatrzyłem na nią wyzywająco, choć tego nie miałem na myśli - niebo jest takie piękne...
 - Fakt, dzisiaj jest ładnie, pomimo lekkiego śniegu - zgodziła się
 - Może chcesz polatać ze mną? - zapiekiły mnie policzki, gdy tylko o to zapytałem.
- Derpy zachichotała - z przyjemnością

Oboje się unieśliśmy w powietrze i zaczęliśmy lecieć ku niebu, obok siebie.

Z każdym nowoosiągniętym metrem powietrze stawało się coraz zimniejsze i rzadsze. Taka mała czynność, a ile sprawiała radości. Zwłaszcza w czasie wykonywania

jej z moją ukochaną Derpy Hooves.

Postanowiliśmy zatrzymać się na chmurze, jak za czasu gdy ona mnie na jedną z nich uniosła.

Ładne niebo, przecudowna i kochana klacz oraz chmura... wszystko zdawało się wymuszać na mnie wyznanie Derpy tego, co czuję do niej.

Też chciałem by się o tym dowiedziała, zebrałem trochę w sobie odwagi i poszedłem do niej.

- uhm... Derpy?
- tak? - odwróciła się w tym momencie do mnie
- chciałem ci powiedzieć... znaczy uważam, że ty... - ogarnęła mnie powszechna trema, serce mnie zaczęło bić mocniej, strasznie się zacząłem pocić a w uszach

mi dzwoniło... przełknąłem ślinę - jesteś przepiękna...

Przyłożyła mi kopyto do ust - spokojnie, wiem co chcesz Piotrze powiedzieć
- naprawdę? - to mnie zszokowało
- Oczywiście! Chciałeś mnie uratować poświęcając swoje życie. Ty po prostu mnie kochasz

Popatrzyłem się w dół, moje serce zbliżało się ku implozji - tak...

Wtem ona delikatnie uniosła moją głowę, popatrzyła się na mnie wzrokiem takim...
pożądliwym... radosnym i z uśmiechem na twarzy. Wzdrygnąłem się.

- Nie bój się swych uczuć... to niedorzeczne... a właściwie...

zacząłem się zastanawiać co chce mi powiedzieć.

Ale ona nic nie powiedziała, zamiast tego... mnie pocałowała!
Derpy poważnie mnie pocałowała! Kiedy to robiła, wyraźnie poczułem jak ciężar, nie tylko mój
ale i pegazicy, zgromadził się na moich tylnych kopytach

ponieważ niemalże staliśmy. Wkrótce kopyta ugięły się pode mną i oboje runęliśmy na obłok.
Ona leżała na mnie a ja plecami na puchowym podłożu.

- Piotrze - popatrzyła na mnie czuło - ja ciebie też kocham, nie potrafiłam sobie tego uświadomić
aż do dzisiaj
- Może sobie jeszcze polatamy? - zasugerowała po chwili

Kiwnąłem głową i stanęliśmy na brzegu chmurki.
Zetknęliśmy się kopytami i swobodnie rzuciliśmy się w powietrzną otchłań, rozłożyliśmy skrzydła
i lecieliśmy wciąż wyżej i wyżej.
Wtem Derpy, która leciała przede mną, odwróciła się ku mnie lecąc z tą samą szybkością.

- Piotrze! - zawołała - Pokażę ci coś! Złóż skrzydła i zamknij oczy.

Przez chwilę się wahałem ale ją posłuchałem i zrobiłem co chciała.
Nagle ona się do mnie przytuliła z całej siły i znowu zaczęła całować, lecąc we dwóch jak wielki
głaz ku ziemi.
To było zachwycające ! adrenalina i miłosne uczucia jednocześnie, to było imponujące!
Leciliśmy, tak w dół, jeszcze przez chwilę napawając się sytuacją po czym rozłożyliśmy
jednocześnie skrzydła zatrzymując się powoli w powietrzu.

- Mmm... Jakie to słodkie - powiedział głos
- Kto to powiedział? - Derpy się wzdrygnęła
- Oj, moja droga - stwierdził kpiąco i się ujawnił - to tylko ja, nie wiem czy mnie znasz więc się
przedstawię. Nazywam się Discord - po czym zaśmiał się jak

szaleniec wypuszczony po paru latach z psychiatryka...